

O człowieku, który chciał wyrzeźbić duszę



rys. Małgorzata Piłka

Szczęście jest w spokoju. To chyba jedyne twierdzenie, co do którego dziś, przynajmniej wśród otaczających mnie ludzi, panuje konsensus. Natomiast o to, w jaki sposób je osiągnąć, są w stanie pokłócić się wszyscy – od najuboższego Ateńczyka po czołowych filozofów, którzy chyba powinni na stałe zamieszkać na agorze, patrząc na to, ile czasu spędzają tam każdego dnia. Co człowiek to inna wizja świata, a ja nie zamierzam rozstrzygać, kto ma rację. Skąd mam wiedzieć, która opinia jest prawdziwa, a która nie? Nie istnieje przecież żaden argument ostatecznie oddzielający prawdę od fałszu. Wiem tyle – idę teraz na rynek, i nic więcej. Scheda odziedziczona po ojcu pozwoliła mi opłacić naukę sztuki rzeźbiarskiej. Dziś katalog moich dzieł

składa się w większości z rzeźb będących wyposażeniem świątyń. A tych w mieście nie brakuje – prędzej świat się skończy, niż zaginie przesądna wiara Ateńczyków, która każe im stawiać pomniki starym bogom w coraz to nowszej odsłonie. Jako rzeźbiarzowi nie przystoi mi na to narzekać. Kiedy byłem młodszy, chodziłem na lekcje do szkoły Karneadesa. Wiele razy słyszałem, że nie ma na świecie nic pewnego, że faktycznie nie możemy nic orzec, bo nasze sądy zależą od wychowania, wiary, obyczajów i przekonań, a zatem zawsze będą subiektywne. Wydaje się, że patron naszej szkoły, którego wszyscy wspominają jako zawziętego starowinę z długimi włosami, zarostem do piersi i paznokciami jak u drapieżnika,

znalazł od tej reguły jeden wyjątek – nikt nie może podważyć tego, że ja oceniam lub postrzegam daną rzecz tak, a nie inaczej. Od oceny sądów innych należy się wstrzymać. Ta zadeklarowana w otaczającym mnie kręgu obojętność jako najważniejsza postawa w życiu zaczęła powoli w moim przypadku zamieniać się w rezygnację i przesiąknięty ironią dystans. Wśród straganów wypełniających przestrzeń między budynkami publicznymi i świątyniami staram się dotrzeć do stoiska Stefanosa, mojego zaprzyjaźnionego kolegi po fachu i kamieniarza. Od kiedy pamiętam, próbowałem mu dorównać. Jego kopia rzeźby Hermesa z małym Dionizosem na rękach, będąca nową interpretacją oryginału, podbiła ostatnio serca przesiadujących na

agorze i przez kilka dni była tematem żywych dyskusji. Dla porównania kilkanaście moich prac znajduje się w pobliskiej Bibliotece Hadriana i Świątyni Aresa, tak samo pewne elementy Ołtarza Dwunastu Bogów wykonałem kiedyś na zlecenie rady miasta. Jednak, jak widać, piękne jest to, co się komu podoba, bo przechadzając się po rynku nie usłyszałem jeszcze dobrego słowa na swój temat. Tylko powściągliwość pomaga zachować spokój w momentach, kiedy egoizm twórczy zdaje się silniejszy niż natura filozofa.

Minąłem kramik z owocami i zbożem, a następnie z przyprawami, chyba indyjskimi i egipskimi. Pod Posągami Herosów stał Stefanos ze swoimi małymi figurkami do domowych ołtarzyków, tabliczkami, ozdobnymi kapitelami kolumn, wreszcie z akcesoriami rzeźbiarskimi: dłutami, pilnikami, sznurami do pomiarów. Jeśli chodzi o surowce, miał akurat na sprzedaż marmur pentelicki i bryły wapienia.

– Co cię dzisiaj do mnie sprowadza, Tymonie? Musimy załatwić to sprawnie, bo w południe zaczy-

na się teatr – zwrócił się do mnie z właściwą sobie pogodą ducha, pomijając jakiekolwiek powitanie. Musiałem zmrużyć oczy, bo na sekundę oslepiło mnie światło odbijające się od jego alabastrowych wyrobów.

– Dostałem zlecenie, żeby odtworzyć *Umierającego Gala*. Potrzebna mi duża bryła o wymiarach, dajmy na to, siedem na dziesięć stóp, głęboka na osiem. Nie obejdziesz się bez cięższego kilofu, jeśli chcesz oszczędzić mi trochę cierpienia – odrzekłem, wiedząc, że tą ostatnią uwagą robię mu złośliwy przytyk.

– Obyś żył sto lat! – Rozgryzł tę aluzję i roześmiał się jowialnie. – Należy mieć potrzeby i trzeba, aby były zaspokojone, a zbyt dobrze cię znam, żeby nie wiedzieć, jak sprawić ci radość.

Stefanos odwrócił się w stronę ławy, na której swobodnie leżało jego całe rzeźbiarskie instrumentarium. Handlując dzień w dzień na agorze, zdecydowanie zbyt dużo

czasu spędza z ludźmi, o których mówi się, że należą do „sektcy czcieli życia”. Zdaje im się, że są w stanie zniwelować ból i cierpienie i zagłuszyć je przyjemnościami. Tylko siebie potrzebują do szczęścia, a ich świat zawęży się do pełnego brzucha i innych uciech. On może wyłamuje się z tego schematu, bo jest dość pracowity, kulturalny i nade wszystko trzeźwy, ale nie uważam, żeby praktykowanie takiej filozofii współgrało z jego charakterem.

– Szczęśliwy będę, jak zobaczę efekt końcowy. Ta rzeźba wymaga ode mnie niesamowitej precyzji. – Zamilkłem na chwilę, żeby ułożyć w głowie najważniejsze punkty.

– Wyobraź sobie: muskularny mężczyzna podpierający się łokciem, prawie leżący na tarczy. Zmasakrowany po walce próbuje podnieść się z godnością, ale wie, że zaraz spotka się sam na sam ze śmiercią. W jego mimice, oczach, gestach, a przede wszystkim w jego półleżącej postawie muszą jakoś wyrazić moment przejścia do świata bogów. Tu ugryzłem się w język, bo wydawało mi się, że mówienie o śmierci człowiekowi kochającemu życie to wchodzenie na grząski grunt. Ale



rys. Małgorzata Piłka



rys. Małgorzata Piłka

to moje wewnętrzne poruszenie nie miało potwierdzenia w rzeczywistości, przynajmniej nie w kręgu Stefanosa. Oni ani śmierci, ani bogów za bardzo się nie boją, bo twierdzą, że nie mają wpływu na losy świata. Ja nie zajmuję żadnego stanowiska i daleko mi do jakiegokolwiek dogmatyzmu.

– Na włócznię Ateny! – wykrzyknął mój przyjaciel ze zdumienia. – Wysooko zawiesiłeś poprzeczkę! Gdyby jednak przerosło cię to zadanie, rozważ jakiś kurs doszkalający w Koryncie czy Aleksandrii. Tam kładą duży nacisk na odzwierciedlenie właściwych proporcji i budowy ciała.

Chciałem skupić się wreszcie na wyborze jakiegoś solidnego narzędzia, które usprawniłoby mi pracę, ale moją uwagę przykuło kilka sylwetek wylaniających się zza winkła, stąpających po schodach prowadzących z głównej stoły rynku na część handlową placu. Stefanos odłożył ostrzałkę, której zamierzał użyć, żeby zaprezentować mi możliwości swojego najlepszego dłuta, i wbił wzrok w coraz większy, zbliżający się do nas tłum.

– Obywatele Aten, członkowie rady starszych proszeni na Wzgórze Aresa! Powtarzam: członkowie najwyższej rady, proszę stawić się na Areopagu!

To był donośny, przeciągły głos herolda. Dostrzegłem, że dobiegał z jednego z balkonów Odeonu Agryppy. Dla mnie były to złe wieści. Po pierwsze nie dobieję dziś targu ze Stefanosem, a po drugie będę zmuszony iść za tą całą gromadą mędrków – w końcu majątek ojca uczynił mnie jednym z zamożniejszych Ateńczyków, a to dawało mi możliwość uczestniczenia w obradach senatu. Po trzecie wiem, że to pewnie jakaś sprawa mniejszej wagi, skoro do tej pory nie odbiła się głośnym echem na rynku. Wreszcie – i tak wstrzymuję się od sądów. Jedynie wpojone poczucie obywatelskiego obowiązku sprawia, że zawsze staram się iść tam, gdzie mnie oczekują.

– No i nici z dzisiejszego teatru – podsumował rozczarowany Stefanos.

– Jak zwykle w polu twojego zainteresowania znajdują się najmniej istotne sprawy – odparłem z irytacją. – Już wiem, co powiesz: że to odebrało ci drobną przyjemność i skazało na cierpienie. Doprawdy godne politowania. – Wypowiadając te słowa tylko leciutko wbijałem mu szpilę. Dobrze wiedział, że żartuję. Chyba aż za bardzo cenil sobie naszą przyjaźń.

Poczułem, że ktoś obejmuje mnie ramieniem i odwraca w swoją stronę. To Dionizy, kolega z czasów szkoły Karneadesa. Po tym krótkim epizodzie nasze drogi się rozeszły, bo wyjechał, żeby studiować astronomię w egipskim Heliopolis. Co jakiś czas widywaliśmy się na mieście przy okazji załatwiania swoich codziennych spraw.

– Nie spieszy ci się? Zapowiada się chyba najciekawszy proces tego roku – zagaił z typową nonszalancją światowca. Ponieważ tylko wzruszyłem ramionami, dodał: – Wychył czasem nos ze swojej pracowni, wyjdzie ci to na dobre.

– Chodzi chyba o tego całego Pawła, który od kilku dni snuje się po agorze i dyskutuje z czołowymi epiku-

rejkami i stoikami – wtrącił się Stefanos.

– Oby tylko na tym się skończyło. – Dionizy ucieszył się, że handlarz załapał temat. – Jest Żydem z Tarsu, ale opowiada ciągle o jakimś Chrestosie, którego zabili w Jerozolimie, a którego on sam widział potem pod Damaszkiem. Poszedł głosić nauki do swoich w synagodze, ale chyba obeszło się bez entuzjazmu. To, co mówi, zahacza o zgorzenie, tak że starsi zaczęli się obawiać, żeby nie okazał się jakimś wywrotowcem. Niech wyłoży nam wszystko raz a dobrze, żebyśmy mogli mu dać zezwolenie na publiczne nauczanie, o ile okaże się czegoś warte.

W tamtym momencie i ja zrozumiałem powagę zaistniałej sytuacji. Pożegnaliśmy Stefanosa i udaliśmy się z Dionizym w stronę wzgórza. Musieliśmy obejść Odeon Agryppy, przejść w poprzek Drogi Panatenejskiej i pójść kawalek Stoą Attalosa. Nie mogłem odgadnąć, który z mężczyzn podążających wraz z nami to ów Paweł, bo nikt go nie prowadzono jak złoczyńcę. Nie była to przecież rozprawa za zabójstwo czy przestępstwo większego kalibru, chociaż i takie miały tutaj miejsce. Kiedy wkraczaliśmy do hali kolumnowej, zasłyszałem czyjeś słowa, odbijające się cichym pogłosem z końca krużganku:

– Wygląda na to, że mamy do czynienia z wędrownym filozofem, który opowiada o innym wędrownym filozofie. Do kogo mu najbliższej? Chyba do sceptyka z trzosem i sakiewką – zauważył rzeczowo jakiś mężczyzna.

– A mi się wydaje, że najwyżej może on mieć w sobie coś z cudotwórcy. Kiedy byłem w Derbe, ludzie opowiadali, że uzdrowił jakiegoś człowieka z bezwładu nóg. A ci bezrozumni Likaończycy, którzy biorą wszystko dosłownie, stwierdzili, że to Zeus i Hermes zeszli na ziemię i ukazali się w ludzkich postaciach. Prowincjonalne półgłówki! Cały tłum chciał im złożyć ofiarę, i to na prędko, ale Paweł razem z tym drugim wypierali się kategorycznie swojego boskiego pochodzenia.

Wiara zwykłych ludzi zawsze trochę różni się od tej oficjalnej, pomyślałem. I tak każdy ma swój prywatny panteon bóstw – dwóch bogów więcej w czyimś katalogu chyba nie czyni większej różnicy.

– Słusznie, przecież bóg nie może być osobą, co najwyżej tylko Logosem, który działa w świecie – powiedział ktoś w taki sposób, jakby był właśnie odpytywany przez nauczyciela.

– Mylisz się, przecież bogowie żyją sobie w zaświatach, są szczęśliwi i nic ich nie obchodzi nasze problemy – zaprotestował inny głos.

– Och, nie! Wszystko jest materią, prawda? Więc skoro nawet dusze i cnoty są cielesne, to bogowie również. Teoretycznie kto im zabroni przyjąć ciało dwóch Żydów?

– No właśnie! Nie znacie naszych opowieści? Hermes zawsze wcielił się w podróżnika przekazującego wieści od bogów. A Dionizos, który zszedł na ziemię, by nauczyć ludzi uprawy winorośli, czyż nie przyjął ciała młodzieńca? Albo i Demeter, jako staruszka, nie szukała przypadkiem swojej córki?

– Nic nie rozumiecie, nie w tym rzecz! – oburzył się mężczyzna próbujący przywołać rozmówców do porządku. – To oczywiste, dobre i święte, że powołujesz się na naszą tradycję – zwrócił się z przekąsem do przedmówcy. – Ale chyba nikt z nas serio nie sądzi, że on i ten drugi są bogami, a Likaończycy, którzy nawet nie mają pojęcia, jak prawidłowo składać ofiary, niech sobie

uważają, co chcą. Paweł głosi jakichś nowych bogów, Jezusa i Anastasis, o których nic nam nie wiadomo. Może to tylko nowe nazwy, przyimoty jednej, niepodzielnej cnoty?

Zaczęliśmy wdrapywać się po nagrzanych od słońca marmurowych schodach. Im wyżej się pięliśmy, tym bardziej cichł zgiełk agory, a coraz bardziej stawała się widoczna surowa, chropowata skała Areopagu. W pewnym momencie Dionizy, lubiący namysł i chłodną kalkulację, postanowił odnieść się do tego, co przed chwilą usłyszał:

– Ja chyba widzę to nieco inaczej – zaczął poważnie, marszcząc brwi. – Po pierwsze nie wykluczam, i mówię tu za siebie, że Paweł mógł dokonać czegoś, co niektórzy potocznie nazywają cudem. W świecie nie dzieje się nic niezgodnego z naturą. Jeśli ktoś miał sparaliżowane nogi, a zaczął nimi normalnie poruszać, oznacza to, że tak po prostu musiało być.

– To trochę nierozumne – westchnąłem, choć wiedziałem, że w stoi przez lata nauczano o konieczności wszystkich zdarzeń, nie jako zapisanych w planie świata.

– Ważne, że świat jest rozumny – odparł z przekonaniem. – Skoro dana nam materia jest boska, to jest również harmonijna. Nawet jeśli coś nam nie pasuje w takiej wizji rzeczywistości, nic na to nie poradzimy. Cnota wymaga od nas dostosowania się do okoliczności.

W tym momencie dostrzegłem połyskujący wierzchołek grotu włóczyń Ateń walczącej, monumentalnego posągu w centrum Akropolu. To oznaczało, że byliśmy już prawie u celu.

– Po drugie znalazłem potencjalne wytłumaczenie tej sytuacji – kontynuował. – Świat jest ożywiony, pneuma wnika w rzeczy. Jest odpowiedzialna za ich ruch. Nawet w tym, co martwe, istnieje jakies wewnętrzne poruszenie, ale o znacznie mniejszym natężeniu niż w przypadku tego, co żyje, zwierząt czy ludzi. Tak więc w bezwładnych nogach tamtego człowieka musiała zadziać się jakby... intensyfikacja materii?

Akurat udało mu się doprowadzić myśl do końca, kiedy trzeba było znaleźć swoje miejsce na szczycie wzgórza. Zebrani zaczęli zbijać się w mniejsze grupy, otaczające ze wszystkich stron całkiem skromny podest, którym był w istocie jedynie większych rozmiarów gład. Wreszcie zjawił się i on. Wskoczył na kamień, trochę niezdarnie, ale z takim impetem jakby przesłuchanie nie było dla niego co najmniej powodem do niepokoju, lecz wyróżnieniem obywatelskim, najwyższym zaszczytem.

– Mężowie ateńscy! Widzę, że jesteście nad wyraz religijni – rozpoczął energicznie, i momentalnie wywołując konsternację tłumu.

Ten krępy, niewysoki mężczyzna na pierwszy rzut oka nie miał w sobie nic z filozofa. Był ubrany w prosty chiton przepasany skórzanym pasem, w którym trzymał jakieś narzędzia, a przez ramię zwiisała mu torba podróżna. Na jego większych rozmiarów czole, przeoranym bliznami ciągnącymi się aż do policzka, malowało się skupienie, ale innego rodzaju niż greckich myślicieli.

Ciąg dalszy opowiadania w kolejnym numerze „Galilei”.

*Katarzyna Dziewiałtowicz,
absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Gdańskim i Szkoły Biblijnej
Archidiecezji Gdańskiej*



rys. Małgorzata Piłka